Rok 1898. Lwów, dnia 24. stycznia. Nr. 4.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ADAM KRAJEWSKI

PRZYCZYNEK DO HISTORJI CZASÓW SASKICH W POLSCE.

W korespondencji państwowej Fryderyka Wielkiego, króla pruskiego, założyciela monarchji pruskiej, wydanej w Lipsku r. 1762. znajdujemy szereg listów, odnoszących się do wojny z cesarzową Marją Teresą austrjacką o Szląsk. Są tam między innymi listy, pisane w tej sprawie bądź bezpośrednio do Augusta III. Sasa, wciągniętego przez dwór wiedeński chwilowo do sojuszu z nim, bądź do wielkiego hetmana koronnego i wszechwładnego Brühla, w których król pruski, zaniepokojony możliwą dywersją ze strony wojska polsko-saskiego, pragnie sojusz ten udaremnić, co mu się też ostatecznie — niestety — udało.

Listy te ciekawe są z dwu względów: raz dlatego, że wykazują one całą perfidję krzyżacką, z jaką Prusacy od wieków występują, powtóre, że wobec dzisiejszych stosunków naszego narodu do Prus, warto posłuchać, z jakiemi pochlebstwami zwracał się król pruski do rządu polskiego, gdy mu chodziło o całość skóry i przeprowadzanie zaborczych planów.

Dla lepszego zrozumienia rzeczy, zwłaszcza dla czytelników, niezagłębiających się zbyt nadto w badania historyczne, objaśnimy, że zanim Fryderyk wydał Marji Teresie wojnę, zupełnie niby lojalnie, według instrukcji danej posłowi pruskiemu w Wiedniu z daty 15. listopada 1740 r. ofiaruje cesarzowej: 1) zupełną opiekę i pomoc całej swej siły zbrojnej dla utrzymania w posiadaniu domu austrjackiego wszystkich dzierżaw niemieckich; 2) przystąpienie do przymierza z dworem wiedeńskim, Rosją i z mocarstwami morskiemi; 3) dołożenie wszelkich starań, aby dopomódz księciu lotaryńskiemu (mężowi cesarzowej) w uzyskaniu tytułu i godności cesarza; nakoniec 4) i jego zdaniem najważniejsze, dwór, — gdziekolwiekby się tenże znajdował, utrzymać zawsze w stanie obronnym (czyli innemi słowy mówiąc, trzymać go pod silną strażą) i dać dla zasilenia prawdopodobnie pustego skarbu państwowego Austrji, d w a m i l j o n y guldenów w gotówce.

Za wszystkie te „dobrodziejstwa“, zażądał małej bagatelki, mianowicie odstąpienia mu na własność c a ł e g o S z l ą s k a.

Niedźwiedzia ta propozycja odrzuconą została w Wiedniu, dzięki interwencji księcia lotaryńskiego, który jasno przewidział, że król pruski tym sposobem dojść chce do korony cesarza niemieckiego. To spowodowało przebiegłego Fryderyka do próbowania ustępstw. W liście mianowicie do posła swego w Wiedniu hrabiego Gottera z daty już 7. grudnia 1740 proponuje, że zgodzi się na odstąpienie mu c z ę ś c i Szląska, jeżeli nie całego, ale równocześnie stawia warunek, ażeby k r ó l o w a w ę g i e r s k a zawarła z nim sojusz zaczepno odporny, wedle podanych poprzednio punktacyj.

Nie zgodzono się w Wiedniu i na to z łatwych do zrozumienia powodów, a tymczasem chytry Prusak stał oddawna pod bronią, gotów do najazdu; zaledwie bowiem sześć dni od wysłania wyżej wymienionego listu upłynęło, wyszła w dniu 13. grudnia 1840 z Berlina proklamacja wypowiedzenia Austrji wojny i rozkaz do wojska wkroczenia w granice Szląska.

„Z Bożej łaski Fryderyk, król pruski, margrabia Brandeburgji, Świętego rzymskiego państwa Arcy-Podkomorzy i Kurfirst itd. itd.“ zawiadomił dwory, „że wkracza do Szląska celem „windykacji“ tej prowincji na zasadzie prawa odwiecznego swego rodu i swego pokrewieństwa z w Bogu spoczywającymi przodkami, panującymi na Lignicy, Brzegu itd. itd.“

Poczęła się więc owa nieszczęśliwa wojna, zakończona chwilowo pokojem w Dreźnie r. 1746. Prusy wzrosły po niej we większą potęgę, a nieszczęśliwa Polska skłaniała się czem raz więcej do upadku, nurtowana intrygami własnych ministrów, wysługujących się obcym dworom

W korespondencji tej króla pruskiego, znajdujemy dopiero w r. 1745 w maju, a więc w czasie, kiedy dwór wiedeński przynaglony potrzebą, zwracał się nawet do tak słabych sąsiadów jak Polska wówczas o pomoc — pierwszą o nas wzmiankę:

Jestto list pisany:

Do hetmana wielkiego koronnego, dnia 6. maja 1745.

Mości Panie Wielki Hetmanie koronny!

„Sprawozdano mi z wielu stron, że 6 regimentów, które Król Polski całkiem świeżo w Polsce zorganizował, otrzymało rozkaz udania się na granicę Szląska, aby księstwo to tem lepiej splądrować, zanim wkroczy armia saska i rozpocznie kroki nieprzyjacielskie przeciw mojemu państwu.

Gdy jednak na mocy traktatów, jakie nas oddawna z Najjaśniejszą Rzecząpospolitą Polską łączą, chcemy z nią

żyć w pełnej przyjaźni i porozumieniu, będziemy więc starać się niezłomnie, porozumienie to utrzymać i potęgować je, co dla pewnych interesów naszego państwa potrzebne jest bardzo i zbawienne.

Przypuszczamy tedy, że Rzeczpospolita może przyzwolić lub uchylić takie przedsięwzięcie, które korzyściom dobrego sąsiada może być właśnie przeciwne i jesteśmy pewni, że naród polski zbyt jest zadowolony ze swego pokoju i dobrobytu, aby się nie miał odważnie sprzeciwić takiemu postępowaniu, analogicznemu z wypadkami, które zaszły z początkiem bieżącego stulecia, a które pociągnęły za sobą wiele nieszczęśliwych i smutnych następstw, jakie się i obecnie zdarzyć by mogły, gdyby nie dołożono starań do sprzeciwienia się takowym.

Gdy znamy dobre i szczere usposobienie Jego Majestatu Króla Polskiego, jakoteż Jego skłonność do unikania tego wszystkiego, coby mogło zakłócić dobrobyt i spokój Rzeczypospolitej, nie możemy pojąć tego, jak mógł się skłonić do postępowania, które to wszystko wywołało, i które z ustawami i konstytucjami Jego Królestwa tak widocznie jest sprzeczne.

Gdyśmy w międzyczasie otrzymali wiadomości o tem z pewnych i sumiennych źródeł i wśród takich okoliczności, że musimy im dać wiarę, jest nam pewnem, że szczerość Jego Majestatu przez złych doradców na szwank narażoną została, i że przedstawiono Mu stan rzeczy inaczej, niż jest w rzeczywistości.

Ponieważ zupełnie szczerze pragniemy żyć z Jego Majestatem w niezachwianej zgodzie i harmonji, tak co dotyczy Królestwa Polskiego, jak i Jego dziedzicznego kraju i gdy nie mamy zamiaru pierwsi nikogo zaczepiać, sądzimy, że nie możemy nic lepszego uczynić, dla uniknienia wszelkich nieprzyjemności, jakich naturalnie należałoby się obawiać, jak zwrócić się do Pana, jako jednego z najpierwszych poddanych Rzeczypospolitej i stojącego na czele siły zbrojnej. Wobec tego łatwiejsze to będzie dla Pana i bardziej w jego możności, wszystko to odwrócić, coby mogło wyjść na szkodę szczęściu i spokojowi Rzeczypospolitej, zachwiać system obecny, już zagrożony i narazić ojczyznę na pożar wojny, zapalającej się właśnie w jej łonie.

Czynimy to z zupełnem zaufaniem; jesteśmy bowiem przekonani, że Pańskie stanowisko, godność Pańska i powaga posłużą mu do tego, aby Króla Polskiego od podobnych przedsięwzięć odciągnąć i tem samem odwrócić nieszczęścia, jakieby z tego powodu wyniknąć mogły. Niemniej wierzymy, że nie dopuścisz Pan, aby te nowo w Polsce utworzone regimenty, przedsięwzięły kroki nieprzyjacielskie w naszem państwie, mianowicie w księstwie szląskiem, lub na granicach królestwa, bądźteż w przemarszu przez inne prowincje.

Spodziewamy się, że Pan weźmiesz zwłaszcza ten ostatni punkt pod rozwagę; pochlebiamy sobie także, że utrzymanie Szląska dla mieszkańców Polski nie może być obojętnem, tak z uwagi na handel wogóle, jak i z uwagi na korzyści i pożytki, jakie urosły im ze zbytu ich towarów w tej prowincji od czasu, odkąd się ona w mojem posiadaniu znajduje.

Zbędnem mi się wydaje, prosić Pana o rzecz, do której się Pan skłania zapewne i bez tego jako dobry patrjota, a co Pan okazałeś już przy sposobnościach, wiadomych całemu światu. Pozwolisz Pan tylko, że go zapewnimy, iż jeżeli Pan ochronisz ojczyznę od tych widocznych nieprzyjemności, dasz Pan nam w ręce nowe powody do odnowienia naszego dla Niego szacunku i życzliwości przy każdej sposobności, z jakiemi zostaję *Fryderyk.*"

Pismo to było wystosowane, rozumie się, dla zamydlenia oczu hetmanowi; osobno bowiem i to jeszcze w dniu 8. września 1744 z obozu pod Pragą, pisał król pruski do swego kanclerza Wallenrodta, ażeby starał się ująć sobie Brühla, wiedział bowiem dobrze, jak wszechmocny wpływ ten u króla posiadał, a i u możnowładców polskich. Powiada on w tem piśmie, że jeżeli Brühl dołoży wszelkich starań, aby porozumienie między królem polskim a pruskim i cesarzem sprowadzić, natenczas on, Fryderyk postara się o to, ażeby cesarz podniósł Brühla do godności księcia Rzeszy niemieckiej i zarazem wydzielił mu udzielne księstwo. Zapłata za trudy, jak widzimy, nie była wcale małą i wartą zachodu. (Ciąg dalszy nast.)

JULJUSZ ZEYER

KRÓL KOFETUA.

(Przekład z czeskiego).

Przynoszę ci, przyjacielu, ten sen z Rawenny, jako pamiątkę z podróży. Śniłem go przy blaskach bizantyjskich mozajk w prastarych bazylikach tego miasta, zapadłego w letarg tak głęboki, że zaklęciem się zdaje, śniłem go u sarkofagu rzymskiej Galli Placydji i w chłodnej pustce mauzoleum Teodoryka gockiego, śniłem go podczas włóczęg swych przez Pinetę, ten las pełny nieprzeczuwanych wrażeń i nieznanego czaru, ten epicki — rzekłbym — gaj piniowy, po którym ongi Dante ni raz błądził, a który ciągnie się od Rawenny, co zrodziła Franczeskę, aż do Rimini, miasta, gdzie śmierć na nią czyhała, na tę niewymownej słodyczy Franczeskę, która z pamięci ludzkiej nigdy zniknąć nie może, ponieważ męczeństwo jej tak nieskończenie głęboko, aż do tak patetycznie pięknego *„lagrimar tristo e pio“* pieśniarza *Piekła* wzruszyło.

Sen mój wstał we mnie, gdym po śladach Shelley'a i Byron'a przez ciche chodził ulice, między wielkiemi ogrodami, które sam niegdyś w wiosennej glorji brzoskwiniowego i morelowego kwiecia widziałeś. Przyszedł niespodzianie, jak przychodzą wszystkie sny, gdy rozmyślanie o tych dwóch pieśniarzach północy, nie wiem już, przez jakie skojarzenie myśli, nagle mi czaru pełny obraz Burne Jones'a „Król Kofetua“ do wzruszonej przywołało pamięci.

Jest to tylko sen, nic więcej ani mniej, ta moja niewyraźna baśń o tęsknocie, którą ci przynoszę. Marzenie może być jałowem, ale powiedz sam, czyli nie

bywają sny i marzenia nasze niekiedy tem czemś najlepszem, co mamy na ziemi? A bez marzenia, tego przedwstępnego tworzenia, czy wogóle mogłaby istnieć sztuka?

Może ten sen mój dzisiejszy jałowym jest również, ale znajdziesz w nim coś z Rawenny i coś, co w piersi mi łkało — a potem, jest to pamiątka!

Kto to był król Kofetua? Kiedy żył i gdzie? Nikt nam tego nie powie. Żaden latopis o nim nie wzmiankuje, ani żadna kronika — a jednak jest nieśmiertelny. Czemu? Bo łabędź awoński słów kilka o nim wyśpiewał i tak imię jego stuleciom przekazał. W moim śnie, wyjeżdżał król Kofetua ze swego grodu nad morzem, gdzieś na północy. Dziewczęce nieledwie jego oblicze było blade i wzruszające w piękności swej. Długie fale jasno-złotych włosów spływały z pod srebrnego hełmu, nad którym pióropusz biały się kołysał, na wolny, fałdzisty płaszcz z brokatu wyblakłe ametystowej barwy, połyskującego leciuchno nićmi srebrnych przetykań. Król Kofetua, w zamyśleniu, spoglądał za siebie na zamek ojców swych. Czarny rumak jego grzebał nogą w piasku, a cały zastęp młodych rycerzy — wszyscy w srebrnych zbrojach, wszyscy na czarnych koniach, jak król, któremu towarzyszyć mieli w jego drodze w nieokreślność — czekał niecierpliwie na znak do pochodu. Spragnieni byli ujrzeć świat i te obce ziemie, o których tyle byli słyszeli, ale których, jako młodzieńcy, bez wyjątku, dotąd nigdy nie widzieli. Król Kofetua oparł się ręką o wysoką kratę, kowaną z żelaza, która zamykała przystań, gdzie pod samym zamkiem kołysały się dwa piękne statki, przeznaczone wyłącznie na potrzebę królewską. Aż na dół, do samej powierzchni morza, wiodły z tego miejsca marmurowe schody; fale rzucały na nie muszle, piany i perły swych rozbryzgujących się wód. To miejsce przypominało królowi wypadek, który mu się w pamięć wrył, acz był się zdarzył dawno, dawno, gdy miał lat ośm zaledwie. Królowa, matka jego, przyprowadziła go tu raz za rękę, gdy na korabiach przypławiono właśnie niezmierną zdobycz z okrain dalekich. Cały brzeg był zasypany skarbami, a słudzy i niewolnicy mrowili się, odnosząc całe to niewidziane bogactwo na górę, do ciemnych komór groźnego grodu, z tą jedną jasną. otwartą salą bursztynową, gdzie stał tron, jako symbol władzy nad bezbrzeżnem tem, falującem w nieskończoność morzem. Królowa pyszna była jako zbuntowani aniołowie, pyszna ze swej piękności, pyszną ze swego rodu, pyszna ze swej potęgi, a najpyszniejsza ze swego syna Kofetuy.

— Wszystko to jest twoje — rzekła mu wówczas — wszystko co tutaj widzisz, i wszystko, co to niezmierne szafirowe morze jeszcze tu posłusznie na wielkim grzbiecie swym przyniesie. Wszystkie brzegi, które wielka ta woda oblewa, są z prawa twoje, bo w żyłach naszych płynie krew rzymskich cezarów i samowładców bizantyjskich, i królów greckich. Nie ma życzenia, któreby ci się kiedybądź nie spełniło, nie ma i nie będzie nic, coby ci odmówionem być mogło. Bóg stworzył niektórych, aby panowali, a resztę, aby służyła.

Kofetua mało wówczas przyszłość tę rozumiał, ale bawiło go brać garstki pereł, rzucać je w piasek i swawolnie po nich deptać. Matka uśmiechała się, lecz nagle chmura okryła jej czoło. Spostrzegła starą kobietę siedzącą na schodach z założonemi na kolanach rękami. Była to niewolnica, której królowa nienawidziła, bo czoło tej kobiety było pyszne. Z czystej swawoli wzięto ją kiedyś gdzieś za morzem w niewolę i przywleczono z inną zdobyczą do grodu. Nie płakała, nie łamała rąk i nie schyliła głowy, gdy ją przywiedziono przed króla i królowę. Król rzekł wówczas ze wzgardą: — Po coście tę przywiedli? By jej rychło grób kopać? Toć nad nim stoi.

Chciał ją puścić na wolność, lecz królowa ujęła go za rękę, nim się to stało.

— Czyliż nie widzisz chmurnego jej spojrzenia nienawiści? — rzekła. — Niechaj nie wprzód wolność otrzyma, aż w pokorze o nią poprosi.

Branka milczała, wreszcie rzekła:

— Czemużbym miała o prawo swe prosić? Nie, raczej gwałt wasz znosić będę. Grób czeka mię wkrótce. Cóż z tego, gdzie go wykopią?

I nie ugięła karku. Została niewolnicą, i lata płynęły, a ona stale milczała i nigdy nie prosiła. Nienawiść pysznej królowej rosła przez to z dniem każdym, i teraz, gdy stojąc z synem na brzegu śród całego tego bogactwa, ujrzała starą niewolnicę, zawołała tak na nią:

— Czemu próżniaczo siedzisz tu sama jedna, gdy inni pracują?

— Pracujesz ty? — odpowiedziała kobieta spokojnie, podnosząc wolno powieki ciężkie od łez nieprzelanych, nieruchoma zresztą w bolesnem i znękanem ciała pochyleniu.

Gniew zczerwienił lice królowej, ale tak była zdumiona nieoczekiwaną, niesłychaną tą odpowiedzią, że na chwilę oniemiała.

Staruszka, blada niezmiernie, położyła czoło na marmurze schodów.

— Boże! — zaszeptała — jak mi słabo! Czy to już śmierć?

Królowa tymczasem opamiętała się.

— Kofetuo — rzekła do syna — postaw nogę na tym nareszcie ugiętym, tak długo pysznym karku!

I dziecię posłuchało. Staruszka zerwała się nagle i wzniosła ręce, jakby klątwę chcąc rzucić; gdy wszakże wzrok jej spotkał tę niewinną twarzyczkę dziecięcą, wstrzymała się wzruszona, zapatrzyła w marzące, dobre oczy pacholęcia, i dwie łzy wytrysły jej z oczu; spłynęły pomału po twarzy i spadły na jego głowę. Królowa była znowu nieskończenie zdumiona.

— Czemu płaczesz? — spytała głosem miększym, niż była kiedykolwiek do staruszki mówiła.

— Bom w tej chwili, w okamgnieniu niepojętego mi objawienia, czytała całą przyszłość tego dziecięcia.

— I to wycisnęło ci łzy? — zawołała z niepokojem królowa. — Co wiesz o jego przyszłych losach? Co grozi mu?

— Pozna omyłkę twą. Rzekłaś mu, że nic odmówionem mu być nie może, że wszystko będzie w jego mocy. A jednak skona kiedyś z...

Staruszka padła bez sił na stopnie i posiniała cała.

— Domów! — zawołała w trosce śmiertelnej królowa — domów, czego ma się strzedz?

Ale staruszka, zamiast jej słuchać, konała.

— Domów! — wykrzyknęła rozpacznie królowa, — domów! Ty umierasz?

— Z tęsknoty! — zaszeptała niewolnica, wyciągnęła ręce w kierunku morza, i w rozmarzeniu gasnących jej źrenic widniała cała otchłań tęsknoty. Potem łkanie głębokie wstrząsnęło silnie jej piersią, padła na wznak i była martwa.

— Depczcie ją! Rzućcie ją w morze! — wykrzyknęła królowa z nieludzką namiętnością.

— Nie domówiła! Przez zemstę milczała! Uszła mi, uszła! Zwyciężyła!

I w największem uniesieniu odbiegła, otulając syna w płaszcz swój, ciężko złotem wyszywany. Niosła dziecię w szalonym, nieokreślonym strachu do wnętrza warownego zamczyska.

Ten to wypadek wspominał teraz, po długich latach, młody król Kofetua, wyjeżdżając z grodu i udając się w drogę, mającą powieść go kędyś w nieokreślone dale. Osierociał prędko, ojciec i matka spali dawno pod porfirową tablicą w mrocznym cieniu zamkowego kościoła, gdzie dniem i nocą złote lampy wonnie dymiąc gorzały i obrazy świętych na przepysznych mozajkach po ścianach w mistyczne otulały obłoki. Król Kofetua nie miał ani zdobywczej dumy swego ojca, ani bluźnierczej pychy swej matki. Rozkwitał cicho w tem groźnem zamczysku, jak roślina w skał chmurnych rozpadlinie, a dusza jego była czysta jako błękit niebieski i jako on głęboka i pełna światłości gwiezdnej. Ta płynęła mu z oczu zadumy pełnych, dziewiczy jakiś czar tchnął z całej jego osoby, jak woń tchnie z lilji kielicha, i zaiste, że w bieli swej cyzelowanej zbroicy, z tem czołem z kości słoniowej, z tą falą jasnych włosów, w efebicznej, smukłej swej piękności podobien był owej lilji, którą kunsztmistrz w wielkich rozmiarach ze srebra był wykował i którą olbrzymi jako wieża posąg Matki Bożej, wznoszący się wysoko nad zamkiem na skale, w ręce trzymał, w stronę zórz porannych, aby białe gołębie, krążące ustawicznie nad blankowaniem chmurnych grodu murów, rosę z niej piły. Król Kofetua wyjeżdżał teraz w świat za widmem. Kto za niem nie ugania po drodze żywota? Zjawiło mu się, jak gwiazda wschodząca pod wieczór w marzącym półzmroku. Była to postać dziewczęcia. Ujrzał ją jednego razu z okna, w dole, śród tłumów u portu. Piękność tego zjawiska uderzyła go. Pośpieszył z zamku do przystani, ale znikła tymczasem. Tłum nie widział jej, tłum zawsze jest ślepy. Król Kofetua napróżno kazał jej szukać. Nie było po niej śladu. Wówczas opanowała go tęsknota jak choroba. Szukać tej, która jako promień w mrok jego wnętrza przenikła, stało się dlań całą treścią żywota. Gdy wszystkie poszukiwania zostały bez skutku, postanowił jechać w świat daleki i nie wracać bez niej. Dla tego to żegnał się teraz z krajem rodzinnym, dla tego to dumał teraz na miejscu, gdzie ongi ta stara niewolnica zapłakała nad nim i gdzie prorokując i niedomówiwszy umarła. Tęsknota niezmierna, smutek niezmierny, bojaźń niezmierna opanowały go, i rzekł do piastuna swego, starego męża, który go odprowadzał do bramy zamkowej:

— Umarła z tęsknoty tu na tem miejscu, owa branka nieszczęsna! Czy nie zginę z tęsknoty i ja? Czy nie rzuciła staruszka owa klątwy na mnie i czy klątwa ta nie zaczyna się spełniać?

— Nie klątwom podlega człowiek, lecz swemu losowi — odpowiedział piastun. — Jako gwiazdy krążą drogami im wyznaczonemi, jak rzeki płyną łożyskami im wymierzonemi, tak idą tęsknoty głębiami dusz naszych. Kamień dopadnie kędy ciężar gna go, osiągnie tedy spoczynek należny — tęsknota wszakże niekażda znajdzie ukojenie i kres. Biada sercu, które tęskni daremnie i któremu nie dano tęskność swą ukoić! Błogosławię ci, Kofetuo. Niechaj tęsknota twa nie będzie podobna promieniowi, który wyszedł z gwiazdy i pada wiecznie, wiecznie w przestrzeń nieskończoną, nie spotykając oka któremuby światłem był!

(Dokończenie nastąpi).

SONETY.

WALKI DUCHÓW.

Straszne są walki duchów pod nieprzeniknioną
Zwyczajnych twarzy, rozmów i spojrzeń zasłoną...
W krainie wiecznych cieni duch z duchem się zwiera,
I wzrok tygrysa w oczy lamparta się wpiera.

Albo jak dwa Centaury głazami granitu
Ciskają w siebie dzikie, okrwawione, wściekłe —
Lub ścieżkami żmij pełzną z szmerem aksamitu
I ranią się śmiertelnie jadem ślin ociekłe...

A czasem w walce dziwnej, nierównej, potwornej —
Boa dusi Centaura, osty — lilje korne,
Albo człowiek-anatom zatrute skalpele

Z zimną rozwagą kata topi w łez aniele...
Straszne są walki duchów pod nieprzeniknioną
Zwyczajnych twarzy, rozmów i spojrzeń zasłoną.

ODNOWA.

Duch mój ożył... lecz ożył nakształt czarnej groty,
W której się morze pieni czarne, niewidzialne —
Gdzie w labiryncie jaskiń huczą wichry halne,
I fal wzburzonych głuche, podziemne łoskoty

Z omszałych paszczy biją w łuki sklepień skalne...
Duch mój ożył i tamy przedwiecznej martwoty
Rozpiera burzą szału, zwierzęcej tęsknoty
Do gwiazd!... Ach — duch mój ożył i niezatracalne

Z otchłani śmierci uniósł porywy astralne —
I rwie się w przestwór chórem ciemnych potęg party —
W bezmiar... w bezmiar... gdzie komet zmieniają się warty,

Gdzie duch już wszechświatowem cierpieniem rozdarty
Nie znajdzie granic bólom, łzom nie znajdzie końca,
I gdzie nie gasną natchnień, żądz i wizji słońca...

Stanisław Pieńkowski.

Gwiazdy i grzyby w podaniach ludu.

(Szkic etnologiczny)

Z licznych badaczy na polu ludoznawstwa żaden nie zwrócił pilniejszej uwagi na podania mające związek z astronomją lub grzyboznawstwem ludowem, a przecież w podaniach tych cenne i nader ważne są materjały do studjów porównawczych nad kulturą ludów.

Z poetów, Mickiewicz umieścił w „Panu Tadeuszu“ kilka szczegółów z dziedziny astronomji, zabarwionych lekko ludowemi tradycjami o gwiazdach — w ustępie zaś przy grzybobraniu, nadmienia w odsyłaczu o pieśniach, krążących między ludem o wojnie, na którą wychodzą grzyby. R. Zmorski, w poemacie „Wieża Siedmiu Wodzów“ w gwiazdach błyszczących widzi hełmy bohaterów — i formą wiersza zbliża się do ludowych utworów, lecz pod względem duchowym nic wspólnego z nimi nie ma, bo treść poematu jest wątkiem sagi skandynawskiej. Józef Grajnert, w rozprawce swojej „Gwieździsty strop nieba“ — umieszczonej w jednem z perjodycznych pism warszawskich r. 1867 lub 1868, poruszył ze strony filozoficzno-moralnej gwiazdoznawstwo ludowe, zostawiając najracjonalniejsze kwestje tego kultu, bo początki jego, po za obrębem swoich rozumowań. Zresztą ani K. W. Wójcicki w swoich „Klechdach etc“ — ani też Gołębiowski[1]), — ks. L. A. Jucewicz[2]), — A. Nowosielski[3]) (Marcinkowski), — J. Radwański[4]) etc. nie podali żadnych z tego działu szczegółów. Nawet głośni badacze początków Słowiańszczyzny J. Lelewel, W. A. Maciejowski, K. Jarochowski nie rozejrzeli się we wskazanym kierunku — a co dziwniejsze, że i w materjałach do etnografji, gromadzonych przez O. Kolberga, prawie nie ma wzmianki o podobnych podaniach.

Lecz pominąwszy ich wartość naukową cenne są one jako czynniki, ułatwiające gruntowniejsze poznanie charakteru tej miljonowej masy, której nadać ruch ku wyżynom oświaty, jest zadaniem czasów obecnych.

Lud wiejski przedstawiany nam bywał bądź to zbytnio upoetyzowanym, bądź znowu ze strony moralnie jak najgorszej. Dopiero w pracach umieszczonych w wydawnictwach ludoznawczych ostatnich lat, w „Zbiorze wiadomości do antropologji krajowej“ w „Wiśle“ i w „Ludzie“, spotykamy się często z trafniejszą, chociaż w ciasnych granicach geograficznych zamkniętą oceną charakteru ludowego.

Mimo to jednak śmiało twierdzić można, że dotychczas dokładnie nie poznaliśmy ludu wiejskiego, tem bardziej, że nie zwracamy uwagi na pewną dwulicowość jego charakteru, która nigdzie tak jaskrawo nie występuje jak w pojęciach wiary i wierzeń ludu, na polu religji i zabobonu. Tu na przemiany okazuje się chrześcjaninem prawowiernym lub poganinem najupartszym i zdumiewa tem etnologa.

Z głową podniesioną wierząco ku gwiazdom, chłop odczytuje ze sklepu niebieskiego głębokie dowody istności Boga, odnajduje w gwiazdach pamiątki przyjścia i męki Zbawiciela, głosi legendy o Świętych Pańskich, zbiera wzniosłe prawdy i nauki moralne — lecz nachyliwszy się w gęstwinę boru nad pniakami drzew ściętych i wygrzebując z mchów i porostów swoje bedki i huby[5]), chrześcijanin ten przybiera nagle postać obcą: staje się istotą nawskróś pogańską i — mimo wiedzy — nawet kapłanem wierzeń przed erą Krzyża leżacych.

Tysiące lat przeszło pełnych zmian najrozmaitszej natury i przeobrażeń przekonań ludzkich, a teraźniejszość przez lud wiejski mimo to tysiącem węzłów pozostała złączoną ze szarem przedporaniem epoki zbawienia. Z ludowych obrządków, zwyczajów i obyczajów, z guseł i klechd, z bajek i podań rozchodzą się jeszcze zdumiewające dźwięki i odgłosy, które świadczą o wielkiej sile nastroju prastarych wyobrażeń i niespożytej słabości ducha, w którego wnętrzu znalazły schronisko.

Najwyraźniej i najjaśniej od niezliczonych okruchów przedawnionego życia, mrokiem pogaństwa omglonego, odrysowuje się cykl podaniowy o gwiazdach. Legendy te są złotem ziarnem chrześcjańskiego siewcy, z pierwszych wieków ery pochrystusowej.

Niezgodne trochę z biblijnemi wiadomościami o stworzeniu świata (bo ulegały różnym modyfikacjom w ustach ludu), nie przeczą jednak powadze pisma świętego.

Według tych podań: niebo za czasów żydowskich[1]) zupełnie było ciemne. Gwiazdy dopiero się nalewały — ale nie świeciły ziemi, tylko nad rajem, i tyle o nich wiedziano, co przez sen.

Jeżeli Bóg chciał prowadzić ludzi po swojej woli, natedy zapalał im ognie na obłokach. Tak było za żydów, że nawet dusze zmarłych leciały przez ciemności do góry i tam się błąkały.

Do ludzi umierających w łasce, przychodził anioł z pochodnią, aby ich dusze przeprowadzić przez noce. Z ziemi widziano wtedy ognie okrągłe jak koła i rozumiano, że to wozy ogniste, a na nich dusze odjeżdżają przez bramę niebieską. „Ta szczo ludy znały persze na switi!“ dodał z lekceważeniem opowiadający, stary pasiecznik.

Dzisiaj powszechnie wiadomo, że gwiazdy to są liczby i znaki uczynione przez Boga Ojca przy obliczaniu ludzi na ziemi. Obrachunek ten zrobiono przed samem narodzeniem Zbawiciela, aby wiedział ile dusz odkupi. Skoro człowiek się rodzi, zaraz taki jeden znak przybywa; dla każdego bowiem świeci jakaś gwiazda.

Gwiazdy rachować to grzech i niebezpiecznie. Można bowiem przy tej rachubie natknąć na swoją gwiazdę, a wtedy nagłą śmiercią skończyć. — Jest to w formie mistycznej wypowiedziana przestroga, aby na próżno czasu nie marnować — twierdzi J. Greinert[2]).

Gwiazda Chrystusowa poczęła świecić od dnia Zwiastowania, ale ludziom nie była widoczną. Gdy Zbawiciel na świat przyszedł, wytoczyli ją aniołowie na niebo. Że była jaśniejszą od innych znacznie, przeto dostrzegli ją pastuszkowie i Św. Trzej Królowie — i poszli pokłonić się dzieciątku Jezus.

Ze śmiercią cnotliwego człowieka, gwiazda jego bynajmniej nie gaśnie—ani też spada. Dusza lecąca do wieczności zabiera ją sobie, a gdy godną tego: przystraja nią Chwałę Boską.

Droga mleczna to gościniec do nieba prowadzący. I Zbawiciel szedł nim wstępując w niebo — i Matkę Boską aniołowie wiedli tym gościńcem; zresztą każda dusza wstę-

[1]) Lud polski i jego zwyczaje. Warszawa 1830.
[2]) Wspomnienia Żmudzi etc. Wilno 1842.
[3]) Lud ukraiński. Wilno 1857.
[4]) Rzecz o mitologji słowiańskiej — Kraków 1862.
[5]) Ogólna nazwa grzybów; — bedki u polskiego, huby u ruskiego ludu.

[1]) Lud wiejski uważa żydów za najpierwszych na świecie Od nich pochodzą dopiero wszyscy inni poganie, a nawet Niemcy; tylko ci ostatni są chrzczeni żydzi.
[2]) Gwieździsty strop nieba. — Warszawa.

puje na niego, gdy z chmur zejdzie. Trzeba jednak wielkiej przezorności do tej pośmiertnej podróży, bo droga rozdziela się w dwa kierunki, z tych jeden wiedzie w „zatracenie“. Aby tą drogą jechał Lucyper do walki z Bogiem, o tem ani lud polski ani ruski nic nie wie. Może być, że pomiędzy ludem na Litwie utrzymuje się to podanie, przytoczone przez Mickiewicza w astronomji Wojskiego.

K o m e t y czyli gwiazdy z g r z y w ą, rózgą, miotłą lub warkoczem ognistym, uważa gmin zawsze za przepowiednie wojen, ciężkiego głodu lub pomoru. Gdy się jednak ludzie ukorzą i szczerze błagają Boga, natedy odwraca się nieszczęście.

N a k s i ę ż y c u wieśniacy widzą dwóch braci. W niektórych okolicach dodają, że to jest Kain i Abel — gdzieindziej skazka mówi tylko o dwóch braciach, którzy sobie wydzierają palicę (w Złoczowskiem), albo widły (w Gródeckiem). W bocheńskim powiecie lud zamiast Kaina i Abla, mieści na księżycu czarownika Twardowskiego. Szatan musiał go tam porzucić, chociaż do piekła miał być porwany, Twardowski bowiem począł śpiewać g o d z i n k i, a śpiewaniem tem osłabił moc złego ducha. Na księżycu Twardowski pokutować będzie do sądnego dnia.

Gwiazdy niecnotliwych ludzi ciemnieją i kopcą. Nad niemi św. Wawrzyniec męczennik płacze — a ma tę łaskę od Pana Jezusa, iż łzami swemi może przyćmione znaki (tj. gwiazdy) rozjaśnić. Gdy więc łza św. Wawrzyńca upadnie na gwiazdę tedy ona się c z y ś c i — a dusza ludzka będzie zbawioną. Gorzej jednak z gwiazdami, które pociemniały do szczętu. Nad niemi Święty łez nie wyleje, ale się odwraca; więc spadają one do „bani Piotrowej“ — która jest szklanną, a w niej się palą „roztopione żary“. Nie jest to piekło, bo do niego duszę porywają tylko czarci. Gdyby wszystkie gwiazdy poczerniały i wpadły do tej — bliżej nieokreślonej bani, wrącej ogniami (ta bania oznacza zapewnie kulę niebieską i słońce?) natedy byłby koniec świata. Ziemia zostałaby wciągniętą do przepaści, ale tego nie dopuści Bóg Duch Święty, który wiąże dusze do gwiazd jasnych; one ludzi i ziemię ciągną w górę. Legenda o ł z a c h Ś w. W a w r z y ń c a jest rozpowszechnioną ogólnie, pomiędzy ludem ruskim i polskim. Nawet na Bukowinie, w okolicy Wamy i Kimpolungu (Dłuhopole) powtarzają ją Rumuni i koloniści Niemcy; podaną im została zapewnie przez lud ruski zamieszkujący wsi sąsiednie.

Odmienny nieco warjant opowieści o ł z a c h ś w i ę t y c h słyszałem w Nowo-Sądeczyźnie. Różnica tyczy się jednak tylko imienia. Zamiast św. Wawrzyńca stawiają tam Św. Piotra. On rzewnemi łzami płacze i płakać będzie po koniec świata z żalu, że się był zaparł Zbawiciela.

Oprócz gwiazd, uważanych za znaki liczbowe i oprócz łez świętych, występują w astronomji ludowej także i inne ciała niebieskie. W astronomicznej konstelacji Oriona, w samym pasie, jednym szeregiem błyszczące trzy gwiazdy pierwszej wielkości, to według ludu są Kosarze św. Izydora. Obok nich trzy stopniowo zmniejszające się gwiazdki, to N o s i a c z e, bo przynoszą pożywienie pierwszym. Odnosząca się do tych konfiguracji legenda wspomina o czasach, kiedy na ziemi zapanował pomór taki, że omal cała ziemia nie wyludniła się. Było to po wojnie. Na niej wyginęła moc ludu — i w domu ludzie marli jak muchy. Dziatwie mniej to szkodziło, tylko starym. Sadyby liczne i wsi zamieszkiwała już prawie tylko dziatwa drobna, a rzadko było o kobietę starszą, którąby się zaopiekować chciała niemi. W końcu przepadała już i g a d z i n a [1]), bo nie było komu zająć się sprzętem i gromadzić paszę na zimę.

Żył wtedy Św. Izydor [2]) na świecie, rolnik i oracz — i ten użalił się bardzo nad ciężką dolą ludzką. Porzucił brony i pług swój w skibie, a przebiegał kraj wszerz i wzdłuż, aby znaleźć robotników. Znalazł zaledwie dwóch i z nimi stanął do kośby dla miłości bliźniego bezpłatnie — a nawet strawy ze wsi nikt im nie przynosił, lecz posilali się chlebem anielskim, który im przynosili aniołowie, zlatujący jeden po drugim; — ślad ich pozostał pomiędzy gwiazdami, dokąd cudem boskim wzięci zostali także kosarze. P ł u g i B r o n ę Św. Izydora pokazuje lud w pobliżu T a r c z y S o b i e s k i e g o, lecz o tej ostatniej nic nie wie. Pług ten jak na ziemi tkwił jedną częścią w skibie ornej, tak utkwiony jest w niwę niebieską — a dopiero gdy się niebo przybliży do ziemi, będzie widoczny całkiem. Niebo, nieustannie bowiem, choć powoli, zbliża się do ziemi.

W Lubelskiem znane są wieśniakom gwiazdy Kastor i Poluks, które zowią B i s k u p k a m i; w Krakowskiem dają im nazwę: B l i ź n i a c z k i. Dawniej u Słowian zwano je podobno L e l e P o l e l e, a na Litwie — jak poetycznie Mickiewicz powiada w „Panu Tadeuszu“ :

...w zodjaku gminnym ich przechrzczono
Jeden zowie się Litwą, a drugi Koroną.

Go do nazwy „Biskupki“ żadnego podania zebrać nie mogłem, nazwę zaś „Bliźniaczek“ nadano tym gwiazdom dla jednakowego światła i równej wielkości, w jakiej się przedstawiają patrzącemu.

Figurę astronomiczną K o r o n y, nazywa lud K o ł e m ś w. K a t a r z y n y. Była wplecioną w to koło Święta i toczoną z góry skalistej, po której dzwona się popsuły, jak dowodzi lud, pokazując pomiędzy gwiazdami próżne odstępy, i zwąc je s z c z e r b a m i. Najjaśniej Koło św. Katarzyny ma świecić w listopadzie, bo w tym miesiącu św. męczenniczka weszła do nieba.

W ręku astronomicznej P a n n y, nauka umieściła kłos. O pannie gwiazdowej, nigdzie nie słyszałem podania, lecz gwiazdy K ł o s u p r z e n i c z n e g o znane są pomiędzy ludem, który opowiada o kłosie następującą legendę:

Dawniej pszenica nie rosła z takiemi małemi kłósiami, jak dzisiaj, ale źdźbła od samej ziemi już były ziaren pełne. Obfitość taka i szczodrość Pańska zaczęła psuć ludzi i już im nieprzyjemnie było jadać chleb biały i czysty, lecz mięszali do niego różne okrasy tak, że samym chlebem się karmiąc, łamali już posty. Dużo też zboża szło na zepsucie i gniło, bo ludzie popadli w grzech lenistwa.

Wtedy zagniewał się Pan Bóg — i omal że pszenica zupełnie nie zniszczała na ziemi. Matka Boska jeno widząc zagniewanie Boże, zbiegła na świat gdzie się zatracenie ziarna spełniało. Ręką wtedy ujęła źdźbło za czubek — a ile zdołała objąć między palce, na taką długość — aby było ziaren w pszenicy na przyszłość, wymodliła u Pana Boga, składając przed Nim kłos wyrwany z roli. Spojrzał wzrokiem zmiłowania, a światło tego spojrzenia pozostało na kłosku; tak go też widać na niebie teraz, ludziom dla przestrogi. W bobreckim powiecie dodają, iż N. Panna uprosiła tyle pszenicy w kłosku, żeby wystarczyło dla pieska i kotka. (C. d. n.)

Ed. Kolbuszowski.

[1]) Gadzina oznacza tu wszelki inwentarz żywy w gospodarstwie: konie, krowy, woły, owce, trzodę chlewną, nawet psy i koty.

[2]) W Lubelskiem, w siołach do ordynacji Zamoyskich należących, św. Izydor przez lud nazywany bywa „Wizyta“.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Gdy sędzia usłyszał nazwisko oskarżonego, odezwał się:

— Njaedel? A cóż to za jakieś barbarzyńskie imię?

— To samo, co Nils — rzekł zawsze do usług gotowy adwokat Tofte — tam w Halden bowiem ludzie zamiast Nils mówią Njaedel.

— Ach tak, ale my nie jesteśmy tutaj w Halden i dlatego ten łajdak musi się nazywać Nils. Jak dalej?

— Vatuemo.

— Vatuemo? — zapytał sędzia powiatowy niecierpliwie.

— W kurendzie napisano Vandmo — zauważył Tofte.

— Naturalnie! Co to ma znaczyć? Nazywa się zatem poprostu Nils Vandmo. „Czystość językowa" nie należy do protokołów!

Po tych słowach sędzia spojrzał surowo na tłum, a z ukosa na sędziego Hiertha, który kiwnął do niego głową potakująco.

Njaedel podszedł go stołu; stanął przychylony naprzód, skłaniając swą rozczochraną głowę: od czasu do czasu rękawem ocierał czoło spocone. Było mu duszno, a usta mu drgały.

Sędzia powiatowy badał go wzrokiem, a gdy zgodził się sam z sobą na metodę, z jaką ma postępować, krzyknął na niego gwałtownie i przeraźliwie:

— Tak, a więc to ty, stary, który żyjesz jak bydlę?! Z dziewką twoją, he?! To ty siejesz zgorszenie w całej gminie? Kto o nim doniósł?

— Pomocnik proboszcza, Soeren Beerevig.

— Słyszysz? Pomocnik proboszcza! Nie wstyd ci? A dziewczynę z dzieckiem wysłałeś do Ameryki, co? Widzisz znamy twoje psie figle! I myślisz, że się wykręcisz? Oho, stary, to ci się nie uda! Albo może zapierasz się tego bydlęcego pożycia? Co?

Njaedel z wysiłkiem widocznym starał się otworzyć usta a gdy mu się to wreszcie udało, rzekł:

— Nie zapieram się niczego.

Tego nie spodziewał się sędzia powiatowy; był przyzwyczajony do najrozmaitszych wybiegów.

— Dobrze robisz, że się nie zapierasz, stary — ciągnął dalej sędzia — ale to wcale nie zmienia postaci rzeczy. Sprawa ta musi być dokładnie zbadaną i wyjaśnioną przez świadków. Gdzie jest twoja córka?

— Wyjechała — odparł Njaedel.

— Wyjechała? I ta także? Dokąd? — zawołał sędzia i otworzył oczy szeroko.

Pełnomocnikowi wypadło pióro z ręki, adwokaci nastawili uszy jak psy gończe, nawet sędzia Hierth, który siedział w tyle przy piecu na sofie i udawał, że czyta, oderwał oczy od kodeksu karnego.

— Do Chrystjanji... Wyjechała dopiero wczoraj... — odparł Njaedel.

— To jest... hm! — sędzia powiatowy nie klął prawie nigdy podczas rozprawy; ale w swej gorliwości kręcił się na krześle, jakby go ktoś gorącą wodą oparzył, a z gniewu krew uderzyła mu do głowy. Zwymyślał Njaedela o tyle, o ile to zgadzało się z godnością sądu, i zapowiedział tak ostry wyrok, jaki tylko da się wygotować.

Njaedel wśród źle ukrywanego niezadowolenia personalu sądowego wyszedł z sali. Ludzie usuwali się przed nim, jak przed zadżumionym, gdy powoli wychodził na dwór.

To rozczarowanie przechodziło wszystko. Wesoły nastrój obiadowy utrzymał się w oczekiwaniu tego kąska na swej wysokości, a teraz nagle wszystko runęło. Nagle wszystko stało się tak nieprzyjemnem w małym dusznym pokoju; podłoga była gładko wyszlifowana przez gładkie buty, a deszcz siekł w okna.

Sędzia Hierth spojrzał na zegarek, powstał i z jednym z pisarzów poszedł do jego pokoju sypialnego. Usłyszano następnie stamtąd hałas i jakieś przesuwanie kufra z miejsca na miejsce.

Sędzia powiatowy był wściekły i dał to odczuwać tak wrogom jak i przyjaciołom. Po zaległych sprawach przesunął się jak błyskawica, a biada temu, ktoby go chciał był zatrzymać. Odpiął zegarek i położył go przed sobą na stole. Tylko niepoprawny adwokat Kruse nie przestawał dyktować dalej protokołów.

Sędzia powiatowy kręcił się na krześle.

— Pragnąłbym zwrócić uwagę pana Krusego, że z tem podawaniem do protokołu musi być nareszcie koniec.

Kruse wyciągnął najspokojniej zegarek.

— Nie przekroczyłem jeszcze czasu określonego ustawą.

— Być może, ale przecież należy mieć pewne względy.

— Mogę mieć tylko wzgląd na dobro moich klientów — odparł Kruse i dyktował dalej.

— Następna sprawa! — zawołał sędzia, gdy Kruse nareszcie skończył.

Ten z kwaśną miną na dworze drgnął; wywołano jego sprawę; nazwiska brzmiały znajomie. Po wywołaniu nastąpiła pauza.

— No! — zawołał sędzia — kto zastępuje stronę?

— Adwokat Boyesen — brzmiała odpowiedź.

— Boyesena nie ma; kto go zastąpi? No!

Kahrs przystąpił szybko do stołu; rozmawiał właśnie z jednym z kolegów przy oknie.

— Co to za sprawa, Kruse? — szepnął.

— Muszę zobaczyć wpierw listę — odparł Kruse głośno.

— Osioł! — mruknął Kahrs; następnie z szacunkiem zwrócił się do sędziego i podał do protokołu: „W imieniu skarżącego przemawiał Boyesen przez Kahrsa za pełnomocnictwem i prosił o odroczenie aż do następnej kadencji sądowej".

— Odroczenie? — zapytał sędzia powiatowy cokolwiek zadziwiony, trochę przeciągle.

— W celu przesłuchania jednego świadka — dyktował Kahrs dalej.

— Gdzie świadek ma być przesłuchany? — zapytał sędzia złośliwie; wiedział doskonale, że adwokat nie posiada najmniejszego pojęcia o całej sprawie.

— W Roeldalu — odparł Kahrs z niezmiennie poważną miną i nie namyślając się ani chwili. Dźwięczny głos poważny, pełen godności wygląd jego zgadzały się bardzo dobrze z uroczystem postępowaniem sądowem.

Sędzia mrugnął na adwokata znacząco, a pisarze uśmiechnęli się pod nosem; Kahrs jednak który stał tak, że ludzie zawsze mogli patrzyć mu prosto w twarz, nie drgnął ani jednym muszkułem twarzy i gdy zezwolono na odroczenie — Tofte, adwokat handlarza koni, nie miał temu nic do zarzucenia — odszedł z głębokim ukłonem, który zawsze dobre wywiera wrażenie.

— Następna sprawa! — zawołał sędzia.

— Nie ma nic więcej.

— Chwała Bogu! — Sędzia schował zegarek. — Zapytajcie się pana sędziego Hiertha, czy możemy kazać zaprzęgać.

Rozprawy zamknięto. Ławnicy, którzy ich słuchali z natężoną uwagą, podpisali protokół; a zanim tłum mógł dobrze zrozumieć, co się dzieje, powstał cały personal sądowy, adwokaci rozproszyli się na wszytkie cztery wiatry, a pisarze rzucili się na wielkie książki protokołowe, aby je zapakować.

Ten z kwaśną miną wyszedł razem z innymi na podwórze; nie rozumiał nic, dopóki nie znalazł kogoś, który mu wytłómaczył, iż sprawa jest odroczona.

— Odroczona — mruczał, jeszcze niezupełnie rozumiejąc.

Szedł naprzód po omacku, o ile to możliwe było w ciemności, między wozami, aż nareszcie znalazł swój; wlazł na niego i pomknął do domu.

Wielka kolasa zatrzymała się przed drzwiami sołtysa: większość adwokatów siedziała już na swych bryczkach, które w długim szeregu stały za kolasą. Tylko Tofte jeszcze przechadzał się, żegnał, i z uśmiechem puszczał dowcipy między znajomych mu chłopów.

Kahrs, który posiadał niecierpliwego konia, siedział i klął pocichu, że sędzia Hierth nie wychodzi. Naprzód nie mógł jechać, gdyż sędzia patrzył na to niechętnie.

Ten tymczasem stał w domu najspokojniej i rozmawiał z żoną sołtysa, a jednocześnie przyglądał się przez okno przygotowaniom do odjazdu. Wychodził bowiem zawsze dopiero wtedy, gdy już wszystko było gotowe i kazał trochę czekać na siebie.

Nareszcie wsiadł; kolasa posunęła się ciężko, bryczki ruszyły za nią.

— Tak — rzekł sędzia Hierth, sadowiąc się wygodnie — myślę tak często o tem, gdy jak dzisiaj widzę ludzi zebranych z szacunkiem dokoła swej władzy, że ci współcześni wichrzyciele, mogą tyle wrzeszczeć, ile im się podoba, ale mimoto nie uda im się zachwiać starym, wrodzonym respektem dla powagi władzy. Na to nasz lud jest zanadto lojalnym, zanadto religijnym.

— I za głupim!.. — dodał sędzia powiatowy.

— Tak jest, po części możesz pan mieć słuszność — odparł Hierth, opierając się, aby spróbować, czy wypadkiem nie uda mu się bodaj na chwilę zasnąć.

Tłum, pozostał z wielu pytaniami na ustach, na które nie otrzymał odpowiedzi. Odjazd nastąpił tak szybko, a wszyscy ci wielcy panowie byli tak opryskliwi, że z pewnością nicby u nich nie wskórano. A jednak nie dało się słyszeć ani jedno słowo niezadowolenia; tylko tu i ówdzie zauważyć można było skryty, kwaśny uśmiech lub kiwnięcie głową. A chociaż nikt nie wymówił ani słówka, to jednak może to było zupełnie dobrem dla snu sędziego Hiertha, że nie wiedział, co ci ludzie myślą.

Nastał wieczór, szary, brzemienny deszczem wieczór. Mały pas w dali na horyzoncie, daleko na zachodzie, zaczął się czerwienić. Przed schodami domu sołtysa stała kucharka i dziewki, zaczerwienione i znużone wskutek wielkiej pracy, i rozkoszowały się świeżem powietrzem, patrząc za oddalającymi się wehikułami.

Tłum opuścił podwórze i rozproszył się na wszystkie strony przez dróżyny i ścieżki polne; pojedyńczo i parami wlekli się do domów, z rękami w kieszeniach — przemoknięci i umęczeni staniem przez cały dzień. (Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Przekłady. Czeska „Politik“ zamieściła w ostatnich czasach nowelę Wiktora Gomulickiego pod tytułem: „Pod parasolem“, w przekładzie niemieckim S. Horowitza, oraz „Stolarza Kowalskiego“ Adama Szymańskiego. W ostatnich numerach dziennik ten przynosi przekład „Przed sądem“ Orzeszkowej.

Mascagni wykańcza równocześnie dwie opery. Niezależnie od poematu dramatycznego „Iris“, ujrzy niebawem światło kinkietów rodzajowy obrazek „La commedia dell'arte. Bohaterami będą popularne postacie jasełkowe: Arlekin, Kolombina, Pantalone etc.

Znany kompozytor i wirtouz czeski Józef Ryszard Rozkošny, twórca oper „Svatojanské proudy“ i „Popelka“ obchodził w tych dniach 50-letni jubileusz swej artystycznej działalności.

Bronzowa figura Chrystusa przy kościele Ś-to Krzyskim w Warszawie, zostanie ustawiona już w marcu br. Odlewem figury i robotą odrzwi marmurowych, mających być podstawą figury a zarazem wejściem do kościoła, zajmuje się prof. Weloński w Rzymie.

Nowa opera. Ludwik Mancinelli dyrektor opery w Madrycie, napisał operę pt. „Hero i Leander“, która w tych dniach w Madrycie wystawioną zostanie. Jak zapewniają znawcy, rzecz ta ma posiadać niepoślednią wartość artystyczną.

Teatr Mały w Warszawie, wystawił z powodzeniem „krotochwilę ludową“ J. K. Galasiewicza pt. „Maciek Samson“.